

ANIOL STRÓŻ.

Gzasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej!

Wychodzi co tydzień.

SŁONKO.

Wędrowało sobie słońko,
Uśmiechnięte, jasne, złote,
Szło nad lasem, szło nad łąką,
Napotkało w łazach sierotę.

Ten się żali: — „Tak wesoło
Świecisz świata, słońko moje,
Uśmiechami sypiesz wkoło,
Gdy ja smutny we łzach stoję.

„Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą,
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczę.”

Słońko na to: — „Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myśle świecie,
I o ludzkich ciężkich losach.

Lecz nie mogę ustać w drodze,
By nad każdą boleć raną,
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając, co kazano.

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój Bogu trza polecić —
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść... i świecić.”

Asnyk.



Na kresach.

Opowiadanie z zamierzełej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

— Teraz, kiedy Lecha nie stało, wojny nie ma — to każdy sobie panem i wodza nie trzeba — ciągnął Lis powoli.

— A Wyszomir? — rzekł Czyż pytajaco.

— Eh, Wyszomir, taki dobry jako i każdy nas. Jak wojna, to i wódz potrzebny, ale jak ich, to każdy radzić sobie potrafi — rzekł Lis, akoby z pewnym namysłem.

— Ale Wyszomir? Lech go nakazał... —

mówił powoli Wręb — a i Dodka przy nim postawił.

— Eh, Dodek, jak i cała starszyna... — przerwał Lis, machnąwszy ręką. — Zawsze im się tylko chce ludowi przewodzić a wolę narzucać.

— No, nie, — odrzekł Czyż — każdyć jest człkiem wolnym i według swojej woli idzie, a zawsze oni radzą.

— Oj, żeby tu te włóczegi z kraju wygnali — westchnął Wręb, wpatrując się w ognisko. — Bo to tylko biedę przyniesie.

— Ba, z włóczegami to inna sprawa. Złot mówi, że ziemi jest dużo, a rąk nie wiele, on też radzi, kto jeno przyjdzie, zaprowadzić go do pracy.

— Licha to praca z takiego raba — machnął ręką Czyż. — Miałem ci i ja takiego po ostatniej wojnie, a nie zdał mi się. I znać go miedźwiedź pogłaskał, czy złe porwało, bo przepadł i ani go widać.

— Ha, ha, ha, to ci się z rabami i włóczęgami nie wiedzie — zaśmiał się szyderczo Wręb.

— A to Złon mówi, co raby mogą się przydać, bo w razie, to oni nas i do swoich prowadzą.

— A niechaj ich! a coby to byli za ludzie, żeby na swoich naprowadzali! — porwał się Wręb. — Lepiej takiemu łeb roztrząskać, aniżeli do zdrady na swoich namawiać.

— Niech to obce plemię chlebem naszym się nie karmi — zawołał Czyż z oburzeniem.

— Jać ich tam ni karmić, ni do zdrady namawiać nie będę — mówił Lis, zapuściwszy we włosy rękę, z pewnem jakoby zafrasowaniem. — Ale nie musi to być nic złego, kiedy ich i Dodek przygarnia, a ponoć już dwu osadził w zagrodzie.

— Co? Dodek? Dodek? włóczęgów obcych? Niemych? Niemców? — pytali Wręb i Czyż, patrząc z niedowierzaniem na Lisa.

— A no, Dodek — rzekł Lis, patrząc z podoba na pytających. — Cóż takie dziwo? toć on wszystkich do jedności namawia, to i tych wraz chce przyłączyć.

— Co? nas ludzi wolnych, nas, cośmy tę ziemię sobie obrali, nas z wrogami połączyć? — krzyknął Czyż, zrywając się ze ziemi z oburzeniem.

— Nas z tymi niemymi, rzekliście? Wara! — wołał Wręb, podnosząc oszczep do góry.

Lis tymczasem chyłkiem odsunął się od ogniska i poszedł w inną stronę.

Do krzyczących i miotających się oburzeniem, Wręba i Czyża, przysuwało się coraz więcej ludzi; gwar się powiększał a oszczepy ku górze wzniesione świadczyły, że słówko rzucone przez Lisa, było iskierką, co w ludziach tych, na pozór zupełnie spokojnych, rozetliła ogień.

Iskrą tą było słówko o poskromieniu swobody i połączeniu się z Niemcami.

Gwar rósł coraz to głośniejszy, aż naraz ozwał się głos trąby, zwołujący do rady.

Trąba ta była nader prosta: Gruba gałąź wierzbiny, wykrecona we środku i oczyszczona, z poprzecinanemi otworami w korze zamkniętej z jednej strony, a otworem z drugiej, przez który silnie nadęte usta dawały hasło do rozpoczęcia obrady.

Na głos ten tak prosty, jak i prostą była natura zebranych, gwar powoli ustawał, a na wzgórzu Lechowem, pod wkopanem drzewem stała starszyzna.

Dodek, jako najstarszy, zajął miejsce na przedzie, inni wkrąg go otoczyli.

— Lecha nam nie stało, wodza nam trzeba! Wyszomir jego następcą, takie było Lecha wołanie — ogłaszał Dodek.

Cisza nastąpiła głucha. Długo nikt nie szepnął. Stary ślepiec miał poszanowanie i prawo do zwoływania ludu, boć on w radzie obok Lecha zasiadał.

Nikt się nie ozwał więcej ze starszyny, a lud jak przykuty stał pod mogiłą, zalegając całe wzgórze. Dodek, oparłszy się o drzewo, oczekiwał.

Pierwszy ozwał się stojący obok Dodka Lepota.

— Tak, Lech Wyszomira naznaczył. Chadzał on z ojcem na wojnę i przysłuchiwał się jego radom. Głos Lecha winien być szanowany.

— Lech póki żył, to i rządził — zawołał wśród starszyny siedzący Złon. — Dziś nam samym wodza wybrać przypada.

— Na co nam wodza? — krzyknął ktoś z tłumu.

— Wojny nie ma, wódz nam nie potrzebny! ozwały się głosy.

— Każdy w swojej chacie jest wodzem i panem, rozsądza sprawy i głos swój na wiec niesie! — wołały tam i sam głosy, wyrrywające się z pośród gromady.

Wrzawa coraz to więcej rosła wśród tego doraźnego wiecu.

Dodek znał widać lud, gdy go nie chciał i chwili bez wodza zostawić.

Zatrząsł się starzec, usłyszawszy niezgodne głosy.

— Cicho bezrozumny ludu! — zawołał. — Zaledwie zagasło oko wodza, jeszcze popioły jego nie ostygły, jeszcze duch jego wpośród was się błaka, a już głosu jego słuchać nie chcecie. On Wyszomira po sobie jako wodza mianował, on do jedności was skłaniał! Taką to cześć dla jego woli? taka cześć dla bogów: co wolę swoją umierającymi ustami Lecha ludowi objawiają?

Wtem, wśród kryjącego się za chmurą słonka, zahuczał odległy, jakby z pod ziemi wychodzący, grom. Nastąpiła chwila milczenia. Lud zabobonny grom ten uważał, jakby jęk zmarłego wodza; a nawet starszyzna ust nie śmiała otworzyć.

Dodek stojący na wzniesieniu, z podniesioną ku górze prawicą, wyglądał jak kapłan wśród korzącego się ludu, patrzący w przeszłość zagasłymi oczyma, a drogę wskazujący wyciągniętą dłoń. A obok niego, na zatkniętej żerdzi, umieszczony był ptak z rozwiniętym do lotu skrzydłem, podobny temu, który stał na gnieździe w zagrodzie Lechowej, a na drugiej żerdzi czapka była Lecha.

Od pierwszej chwili przybycia na tę ziemię

i przybrania przez nich tego godła, podczas każdego wiecu, podczas walki z nieprzyjacielem, ptak ten był przed Lechem niesiony. Obyczajem to było u Słowian, od najdawniejszych już czasów, że znaki plemienia podczas wojny noszono.

Wyszomir, widząc zbierających się na mogile ojca, wiedział o obradach. Ze względu star-

Wtem chmury ezarne zawisły, ciemność zaległa całą okolicę. W dali słychać było szum lasu i porykanie dzikiego zwierza; lud przelekły w trwodze spoglądał na wzgórze, na którym starszyzna równaż trwogą była przejęta.

Jeden tylko Dodek stał nieruchomy, z zagalsłemi oczyma, nie widząc ciemności, jaka ogarnęła wzgórze, a obok niego Bodar, dziecie, nie



Przy studni.

szeństwa w swym rodzie, miał w radzie głos, pozostał jednak na uboczu. Tylko ów przez Lecha wskazany Bodar, dwunastoletnie drobne pachole, godło władzy i rodu Lechowego u stóp starszyzny złożył.

Dodek, czując obok siebie to młode pachole, jakby z przyzwyczajenia, a może, wspomniawszy Krasę, rękę co tylko wzniesioną, oparł na jego ramieniu.

rozumiejące jeszcze niebezpieczeństwa i patrzące nań z nieruchomym spokojem. (D. c. n.)

Przy studni.

Mały Janek, posłany przez matkę po wodę, spotkał przy studni swą przyjaciółkę, która dzieliła z nim swoim śniadaniem, licząc na to, że i on ją poczęstuje jabłuszkiem, które trzyma w ręczce.

Miesiące w roku.

W styczniu śniegi i mróz ściska,
Każdy ciągnie do ogniska.
Przyjdzie luty, gotuj buty,
Bo nastana, deszcze, słoty.
A po lutym marzec spieszy.
Kwiecień życie daje trawce;
Gra pastuszek na ligawce;
Maj zielieni łąki, drzewa;
Już i słowik w krzakach śpiewa.
Czerwiec daje dni gorące,
Kosa brzęczy już na łące.
W lipcu słońce zbyt doskwiera,
Miód na lipach pszczołka zbiera.
Sierpień zbożem ludzi darzy,
Znój i praca dla żniwiarzy.
W wrześniu owoc ciąży drzewu,
Rolnik chodzi wedle siewu.
Ledwie minął piękny wrzesień
Już październik, już i jesień.
Już listopad listki zrywa,
W polu ptaszę już nie śpiewa.
W grudniu rzekę kryją lody,
A lud cieszy się na gody.



Nauka polskiego czytania i pisania.

Lekeya XI.

g g, no-ga, no-gi, no-gę, o-no
ma no-gę ma-łą, o-ni go-ni-li
wo-ły na łą-kę, o-ni ma-ją dę-by
ma-łe, ten ga-du-ła ga-da wie-le,
ja-go-dy.

Niech dziecko uczy się biegle czytać tych
liter z góry na dół, z dołu do góry, pojedynczych
wyrazów wedle wskazania.

Równocześnie niechaj uczy się pisać, naj-
piej ołówkiem w zeszyte z liniami.



ŁAMIGŁÓWKI

I.

Cn.t. sk.rb w..czn. cn.t. kl..a.t dr.g.,
T.g.é n..w.dr..n.pr..j.c..l sr.g.,
N..sp.l..g..ń, n..z.b..rz.w.d.,
N.d wsz.stk...m .nn.m p.n.j. prz.g.d..

II.

Zwierz nie jestem, — a przecie mam aż cztery
[nogi;
Nie kozieł, wół, ni baran — a przecie mam rogi.
W święto, albo i codzień biorę barwę białą,
Jak mnie ludzie otoczą, cieszą się niemało.

III.

Z maki jest zrobiona,
W piecu upieczona.
Łatwo ją zgadniecie,
Bo codziennie jecie.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 11.

I.

Rola — wola — dola.

II.

Bug — buk.

III.

Pióro.

IV.

Echo.



Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 11 na-
desłali: Józef Truskowski ze Starogardu i Pa-
weł Miotk z Różnego dębu.